ROK CZWARTY.

—

№ 27.

WARSZAWA.

D. 21 czerwca (3 lipca)

1859.

Niedziela

3cia po Swiątkach.



REDAKCYA
CZYTELNI
przy ulicy Chmielnéj
Nr. 1527.

Prenumerata rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie kop. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k sr. 15, Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo)

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Obrońco pokładających w Tobie nadzieję, o! Boże, bez którego nic nie jest mocnem, nic świętem, rozmnażaj twe miłosierdzie nad nami, i niech pod twym rządem, pod twem dowództwem przechodzimy czasowe dobra tak, iżbyśmy wiecznych nie utracili. (Kollekta na Niedzielę 3cią po Swiątkach.

Dwaj rolnicy.

—

Jesień już była, wiatr chłodny powiewał,
Blade słoneczko świeciło nieśmiało,
W zżółkłych krzewinach smętnie ptaszek śpiewał,
Echo weselszej piosnki już przebrzmiało;
Lecz za to z chłodnym jesieni powiewem
Cichy lud wiejski mieszał głos radosny,
I wielbił Stwórcę dziękczynienia śpiewem
Za plon zebrany z posianych ziarn wiosny.
Ostatni ziemniak dobywano z roli,
Tłuste bydełko pasło się na rżysku,
Żytko ozime wschodziło powoli,
A odgłos młocki dudnił na klepisku.
Cóż więc dziwnego, że gwary i śmiechy
Brzmiały ochoczo wśród wiejskiej gromadki?
Któż wzbronić może niewinnej uciechy,
Gdzie bojaźń Boża, praca i dostatki?
Lecz nagle zmilkły i śmiechy i gwary,
I cisza jakaś zaległa dokoła,
A każdy z kmiotków, czy młody, czy stary
Stanął, swą czapkę usunąwszy z czoła.
Lecz któżby z ludzi przed takim widokiem
Kornie swej także nie uniżył skroni?
Dwóch siwych starców wolnym dąży krokiem
W świętem milczeniu, samym środkiem błoni.
Dwaj to rolnicy, choć odmienni strojem,
Obu ich postać całej wiosce znana:
Kmieca siermięga starodawnym krojem,
I czarna suknia wiejskiego kapłana.
Oba najstarsi wiekiem z całej wioski
Przodkują dawno tej cichej gromadce,
Dzieląc z nią trudy, wesele i troski,
Świecą przykładem tej Bożej czeladce,
I oba Bożą wypełniając wolę,
Wiodą do Niego to poczciwe plemię,

Ten siejąc ziarno w twardą serca rolę,
Ów w pocie czoła uprawiając ziemię.
Stary Jan Rataj z ubogiego stanu,
Własnemi trudy dobre zyskał mienie,
Sędziwy pleban wiernie służąc Panu,
Trzecie już w wiosce strzeże pokolenie.
Jan płonną ziemię, pełną skał i głogu
Zamienił w plenne, bujne zboża łany,
A zacny kapłan w miłości ku Bogu
Z błędnych dróg grzechu odwiódł lud zbłąkany.
Nieraz ich, nieraz w tych trudów mozole,
Smutek bolesnym ciężarem uciskał,
I krople potu spływały po czole,
A z oczu rzewnych łez strumień wytryskał.
Lecz za to później w jakże hojne plony
Pan Bóg pozwolił zakwitnąć ich czynom!
Jan widzi zbożem szumiące zagony,
I błogosławi licznym swoim synom,
A zacny pleban z tajną serca chlubą
Widzi w swej trzódce rozkrzewione cnoty,
I błogosławiąc tę gromadkę lubą,
Śpiewa cześć Bogu za ten plon swój złoty.
I ta pociecha została dla obu,
Że kiedy śmierci zasuną ich cienie,
Czeka ich łaska z tamtej strony grobu,
A tu na ziemi uczciwe wspomnienie.
I błogosławiąc młodemu plemieniu,
Obaj rolnicy syci życia znoju,
Ze Symeonem modlą się w milczeniu:
Wypuść już Panie twe sługi w pokoju!

Najtrwalsze bogactwo.

(Zdarzenie prawdziwe)

—

Cnota skarb wieczny, cnota klejnot drogi,
Tegoć nie wydrze nieprzyjaciel srogi,
Nie spali ogień, nie zabierze woda,
Nad wszystkiém inném panuje przygoda.

Po piękném i pogodném lecie nadeszła jesień ponura; ciemne i dżdżyste dnie zastąpiły miejsce wesołych słońcem i zielonością chwil lata. Smutno było możnym niemogącym w porze tej znaleść dla siebie rozrywek, ciężko ubogim a pracującym, których dnie krótkie twardszą obarczały robotą, a zbliżająca się zima wielu ciężkiemi potrzebami.

Po fabrykach i warsztatach pracowano już dopóźna; dzień krótki przedłużać trzeba było pracą wieczorową. Owóż po wielu domach i dworkach Warszawy, kędy tylko zamieszkiwała poczciwość i praca, słychać było przy gwarze wesołym stuk młotów, tarcie pilników, albo tarcie hebla stolarskiego.

I wesoło było ludziskom przy pracy; Bóg daje trzeźwość umysłu, zdrowie, zadowolnienie duszy i spokój sumienia, czego nie staje zwykle po szumnych, a krótko trwałych rozrywkach.

Na ulicach Warszawy nie widać było wesołości, jaka ożywiała zajętych pracą robotników; z nadejściem mroku deszcz przenikający zimnem i wilgocią ciął bezprzestannie. Cisza głęboka zalegała miasto, zrzadka dając spotkać dążącego pod dach swój mieszkańca.

Uliczką Święto-Jańską w tymże samym czasie przechodziła okryta podartą salopką kobiecina w podeszłym już wieku; spiesząc, o ile jej siły dozwalały, pociągała wązkie okrycie na skostniałe od zimna i wilgoci ręce.

Biednaż ja, biedna, szeptała, na wiek mój późny w tak ciężkiej nędzy; jednak niech wola Twa błogosławioną będzie, dodała zaraz pobożnie. Właśnie gdy przechodziła około murów kościoła, dobiegło ją ciche westchnienie; stanęła, poglądając wokoło. Na ulicy prócz kilku śpieszących przechodniów, nikogo widać nie było; postąpiła dalej, gdy znów szept z cichém połączony łkaniem dobiegł jej uszu powtórnie. Zdziwiona, podeszła ku kościołowi, a wpatrując się zbliska, ujrzała pod murem drżącego od zimna chłopczynę, który odartemi tuląc się łachmanki, chuchaniem i łzami zdrętwiałe rozgrzewał rączęta.

— Co ci to mały? pytała z litością kobieta.

— Głodnym i słaby, i zimno mi strasznie, przemówił.

— Niemaszże nikogo, coby cię przyjął?

— Nikogo, odrzekł, ojcowie dawno pomarli. Zrazu wałęsałem się, żywiąc okruchami, co mi je dali z litości znajomi rodziców moich, potem wprowadził się do tego dworka koszykarz, który potrzebował kogoś, coby mu nosił robotę po mieście; wziął mnie więc, i za kąt oraz kawałek chleba wysyłał codziennie na targ za sprzedażą.

— Czemuż tam więc nie idziesz na nocleg? spytała kobieta.

— Jak iść, kiedy wygnali, zakazując pokazywać się więcej, a jam, Bóg widzi, nie winien! wołał, serdeczném zanosząc się łkaniem.

Płacz nieudany rozrzewnił serce kobiety. —Uspokój się mały, prosiła, głaszcząc pochyloną głowę chłopięcia; opowiedz wszystko, ale nic nie kłamiąc, tak, jakbyś mówił przed Bogiem, a będę chciała dać ci jaką taką pomoc.

— Nie skłamię Imościulku, odrzekł, bo matka zawsze mawiała, że kłamstwo jest pierwszym do złodziejstwa stopniem, a złe, prędzej czy później się wyda; staram się więc zawsze mówić szczerą prawdę, i teraz oto tak było... a przecież oni nie chcieli mi wierzyć!

— Ja ci uwierzę, mówiła kobieta, ufaj temu, że Bóg prawdę wynagradza, mów więc a śpieszno, bo deszcz i zimno przejmuje.

— Gdym wracał wczoraj z koszykami (zaczął) potrącono mnie na ulicy, padłem, a zbierając rozrzucony towar, upuścić musiałem zebrane z całodniowej sprzedaży pieniądze. Uszedłszy kawałek, przypomniałem sobie; biegnę co tchu starczy w to samo miejsce, ale gdzie szukać!.. pieniędzy ani już śladu. Ktoś podnieść musiał i poszedł, a ja wróciwszy, srogą odebrałem chłostę i wypędzono mnie, nazywając kłamcą i złodziejem.

Tu w głos zapłakał chłopczyna, wzywając zmarłych rodziców ratunku.

— Ja ci ich zastąpię, mówiła niewiasta, chodź ze mną, pożywię cię trochę, wyśpisz się, a dalej może i Bóg nas nie opuści.

Powstał sierota skrzepion łagodnemi słowy i wkrótce oboje weszli do jednego z maleńkich dworków Piekarskiej ulicy.

Tam przy rodzinie ubogiego szewca mieściła się kobiecina z wsparcia litościwych osób, z robót, jak darcie pierza, szycie grubych worków, płacąc za komorne i jadło. Wszedłszy sama naprzód, z nieśmiałością prosiła gospodarzy o kącik dla ubogiego chłopięcia. Poczciwi ludziska przyjęli sierotę jak Pan Bóg każe; wysłuchawszy opowiadania niewiasty, pożywili ich oboje. Teodorowa posłała chłopcu własną swą pierzynkę, naradzając się z mężem co do zajęcia i przyszłości dziecięcia, które już jak własne uważali.

Po dniach kilku, gdy chłopiec wypoczął i odżywił się, spytał go poczciwy Teodor, do jakiego rzemiosła miałby chęć sposobienia się.

— Do stolarki, Jaś odrzekł; tatusio moi byli podobno stolarzem i ja nim równo chcę być panie majstrze.

Usłyszawszy taką odpowiedź, Teodor w pierwszą niedzielę przystroiwszy sierotę własném swém ubraniem, sam przybran czysto i schludnie, poszedł z nim do kuma swego Joachima, który właśnie miał warsztat stolarski. Tam przedstawiwszy jak mógł najlepiej sierotę, polecił go opiece przyjaciela, prosząc o przyjęcie do rzemiosła. Zgodził się na to Joachim, i w niedzielę zaraz wieczorem Jaś pożegnawszy opiekunów, poczciwą Filipkową, którą jak własną ukochał matkę, wziąwszy węzełek zaopatrzony ręką Teodorowej, poszedł z majstrem szewckim do nowej siedziby. Zrazu wielce mu ciężką zdała się stolarka, postanowił jednak wytrwaniem pokonać wszystkie trudności. Łagodny, cichy i wybaczający znosił dokuczenia i psoty towarzyszów, dobrocią i miłém słowem starając się ich na lepszą naprowadzić drogę.

Wkrótce mu się to udało. Wytrwałość, którą czerpał w modlitwie, jako też i sumienne zajęcie się pracą zwróciły uwagę nietylko czeladzi, ale i majstra samego. Widząc chłopcy, że wiara w Boga, cierpliwość i wybaczanie są skuteczniejsze nad ich złośliwe docinki, uspokoili się, pokochawszy szczerze nowego koleżkę.

Mijały lata, Jan pracował bez przerwy w jednym i tymże samym warsztacie; odwiedzając poczciwych Teodorów i Filipkową, uczęszczał do szkółki niedzielnej, okazując szczególną zdatność w rysunku.

Bóg pracowitym i poczciwym ludziom zsyła często we śnie miłe przyszłości widzenia. Gdy się Jan zdrzémnął, ujrzał w marzeniu wieś piękną: dwór murowany w kształcie pałacyku wznosił się wśród klombów, drzew i zieloności, dokoła otaczały go porządne zabudowania gospodarskie. Śród tego ujrzał Jan siebie stojącym u wejścia pałacyku, przy boku jego niewiasta spoglądała mile na igrających dzieci kilkoro, opodal stał człowiek w wiejskiej odzieży, któremu Jan dawał rozporządzenia. Słońce oświecało cały te nobrazek, uczucie szczęścia i niewysłowionej swobody

napełniało pierś Jana. Uśmiechał się we śnie, tak mu rozkosznie było i błogo; przeckniony nagle silniejszym wiatru powiewem usłyszał w półśnie wyrazy:

Cnota jest siłą człowieka, a praca źródłem bogactwa.

Rozbudzon siadł na murawie, a ujrzawszy się osamotnionym śród lasu, nie mógł z marzenia przyjść do przytomności.

Co znaczy widzenie i głos ten? pytał sam siebie; ja dziś ubogi robotnik miałżebym wierzyć takiej dla siebie przyszłości? Zadumał się nieco, a w tejże chwili przyszły mu na myśl zasłyszane we śnie wyrazy.

Będę pracował, wyrzecze, jak dotąd tak i nadal prawej nie porzucę drogi.

Związawszy węzełek, powstał, kierując, się w stronę wioski dla pokrzepienia się wodą lub mlekiem.

Jakież było zdziwienie Jana, gdy podszedłszy zbliska, ujrzał tenże sam widziany we śnie pałacyk, też same klomby i drzewa otaczały go wokoło, wejście nawet po kilkunastu schodach, jakie widział wyraźnie w marzeniu, ujrzał Jan teraz przed oczyma swemi.

Brakowało tylko postaci jego, niewiasty miłej z dziećmi i stojącego przy nich ekonoma.

Dziwna rzecz, myślał, przypatrując się z zajęciem okolicy; a spostrzegłszy opodal chłopca wiejskiego, spytał go o nazwę folwarczku.

— Zowią go panie Walencinem, odrzekł.

— Nie możnaby dostać tu wody lub mleka? pytał Jan, zajęty senném widzeniem.

— Pójdźcie do naszej chałupy, mówił chłopczyna, matula dadzą wam chleba i mleka. Poszedł Jan, a posiliwszy się, pytał gospodynię, ile zapłacić należy.

— Nie wstydźcie nas, rzekła kobieta, wszakże Bóg podróżnego przyjąć każe, a za tę chleba kruszynę droższe człeku zsyła On błogosławieństwo. Widząc Jan, że próżno byłoby nalegać o przyjęcie zapłaty, podziękował szczerze kobiecie, pytając o jej nazwisko.

— Zowiem się Kraśniaki, odrzekła, z ojców i dziadów zamieszkujemy tę wioskę; jak będziecie wracać, nie mińcie naszej chałupy, nocleg na sianku i świeże mleko zkartoflami na was oczekiwać będzie. Wyraziwszy wdzięczność najszczerszą, udał się Jan w dalszą drogę i po dniach kilkunastu stanął w jedném z miast niemieckich. Tam przypatrzywszy się celniejszym wzorom prac stolarskich, wyruszył dalej, a zapisawszy się jako czeladnik do jednej z najsłynniejszych fabryk, pracował tam jeszcze rok cały.

Po upływie czasu tego wyruszył na dalszą wędrówkę, a w końcu roku drugiego wydoskonalon wielce, powracał do kraju.

Droga wypadła mu na inną całkiem okolicę; zapomniał o śnie owym i o kobiecie, która go wówczas gościnnie przyjęła, szedł, śpiesząc do rodzinnej ziemi, której teraz pragnął być pożytecznym.

Jakże mu Warszawa miłą i piękną się zdała mimo tylu wspaniałych miast, jakie zwiedził! Na widok ukazania się wód Wisły starej, domów i wieżyc kościelnych serce rozkoszą zadrżało, a łza zwilżyła oko poczciwego Jana. Ranna była pora, gdy przeszedł most prowadzący od Pragi, niewielu napotkał zatem przechodniów, a wyszedłszy ulicą Bednarską, wstąpił do kościoła OO. Karmelitów, by pierwszą podziękę zanieść Bogu za łaskawą Jego nad sobą opiekę.

Po wysłuchaniu Mszy całej udał się do mieszkania Teodorów. Ileż było radości, gdy ujrzeli zdrowo i szczęśliwie wchodzącego Jana! Filipkowa pochylona znacznie ku ziemi aż popłakała się, dziękując Stwórcy, że jej doczekać chwili tej dozwolił. Po przywitaniu i rozgawędzeniu się, pyta Jan o majstra swego Joachima.

— Zmarł biedaczysko przed kilku dniami, rzecze Teodor z westchnieniem, została wdowa ot z dziećmi; za chorobę zaciągnęli długi, i chcą podobno warsztat im zabierać.

— Pośpieszmy do niej, wołał Jan, zapłacę długi i wezmę warsztat na siebie, im zaś przy sobie dam przytulisko, albo gdy zechcą, najmę pomieszkanie, pamiętając o wszelkich potrzebach.

Jakoż tak się i stało. Jan w nowo objętym warsztacie założył fabrykę mebli, która mu zaczęła iść najpomyślniej; pracując równo z czeladzią własnym przykładem i rąk przyłożeniem, a przy tem ceną umiarkowaną i trwałością materjałów zjednał sobie w niedługim czasie imię najlepszego majstra.

Obarczon mnóstwem obstalunków musiał

powiększyć liczbę czeladzi, z uzbieranych pieniędzy dopomagając Teodorowi i osieroconej rodzinie Joachima.

Bóg błogosławił widocznie Janowi za miłosierdzie i pracę poczciwą; coraz miał więcej roboty, musiał aż obszerniejsze wynająć mieszkanie, a ludzie mówili, że nawet miał kilkanaście tysięcy gotówki w Banku złożonej.

Filipkowa, co niegdyś rękę podała sierocie, dziś całem jego rządząc gospodastwem, opływała we wszelkie wygody. Dzieci Teodora dorastały; starszy pracował przy ojcu, chcąc jak on kiedyś, dobrym majstrem zostać, młodszego wziął Jan do siebie, przyuczając w stolarskiem rzemiośle. Córka najstarsza kończyła rok siedmnasty; pobożna, dobra i pracowita, wyręczała matkę w domowem gospodarstwie, zajmując się prócz tego i szyciem bielizny. Oddawna Jan upodobał ją sobie; zważając wszakże na wiek jej młody, nie śpieszył z oświadczeniem swego zamiaru.

Naglony jednak przez Filipkowę w trzecim roku po powrocie swoim, szczerze zapytał Magdusię, czy chciałaby żoną jego zostać? Pokraśniałe dziewczę nie mogło zdobyć się na odpowiedź, oczka jej wszakże mile na Jana patrzące, świadczyły o przychylności serduszka. W ostatnią tedy niedzielę zapustu odbył się ślub młodej pary wobec zebranej rodziny Teodora i Joachima; sierocie Janowi błogosławiła drżącą ręką kochająca go jak matka stara Filipkowa.

Żyli szczęśliwie Janowie, w pracy i wzajemném przywiązaniu znajdując spokój i szczęście. Jak w początkach założenia fabryki, tak teraz Bóg błogosławił Janowi; nie krył się, że ma już kilkadziesiąt tysięcy, uzbieranych pracą poczciwą, które z latami pomnażała żony i jego własna oszczędność.

Dnia pewnego przechodząc za kupnem materjałów na ulicę Długą, ujrzał pod murem przytulonego jak on niegdyś i drżącego chłopczynę. Cała miłość sieroca stanęła mu żywo w pamięci; zdjęty litością zbliżył się, a usłyszawszy, iż chłopiec jest synem zmarłego koszykarza, który pozostawił żonę z dziećmi w nędzy, zapomniawszy o celu wyjścia, kazał się prowadzić chłopcu do matki.

Z mocném biciem serca drapał się za nim po wązkich aż na poddasze prowadzących schodkach. Za otwarciem drzwi ujrzał znajomą sobie żonę koszykarza, tę, co najwięcej przyczyniła się do wypędzenia jego sieroty, siedzącą w kącie i otulającą w łachmanki dwie małe dziewczynki. Łzy, jakich wstrzymać nie był już w stanie, spłynęły po licu Jana.

— Chcę wam dopomódz, wyrzekł, zbliżając się; Bóg błogosławił mej pracy, kupiłem dworek w Warszawie, dam wam w nim parę izdebek, a żona moja wami opiekować się będzie.

— O! niechże Bóg wam nagrodzi, jąkała z płaczem niewiasta, nie poznając Jana bynajmiej; ależ panie mój, dodała, niełatwo puścić mnie zechce gospodarz, któremu zadłużyliśmy się przeszło złotych dwieście.

— Będę u niego i zaspokoję, mówił Jan z wzruszeniem, nie myślcie o tem, a zabierajcie się śpieszno.

Ucieszona kobieta jęła zbierać rozrzucone łachmanki, otulać dzieci i wkrótce Jan wsiadłszy z niemi do dorożki, powrócił do siebie.

Poczciwa żona jego wiedząc o całém zdarzeniu, domyśliła się zaraz, kto była podupadła ta koszykarka, mimo to zapomniawszy żal wszelki, otwartém sercem przyjęła biedne sieroty. Chłopca umieścił Jan w swoim warsztacie, dziewczynki uczyły się z dziećmi Janowej, wdowie dawano pranie bielizny. Młodszy syn Teodora wyzwolony na czeladnika poszedł jak niegdyś Jan na wędrówkę; za powrotem widząc jego pracę sumienną, Jan zdał mu warsztat dla dorobienia się na lat kilka; sam zaś dla wypocznienia umyślił nabyć folwarczek. Między stręczonemi do kupna usłyszał nazwisko wioski Walencina; sen niegdyś miły w żywej stanął mu pamięci. Spytawszy o położenie i warunki kupna, pojechał ze znającym się na podobnych rzeczach gospodarzem, i rzeczywiście ujrzał ten sam dwór między drzewami, ale opuszczony i smutny brakiem znać dobrego zagospodarowania. Niewiele targując, podpisał kontrakt nabycia i w kilka tygodni wysławszy rodzinę Joachima, z drugą również ubogą koszykarza, zabrawszy żonę z dziećmi i Filipkową, przeniósł się tam na mieszkanie.

Po rozgoszczeniu się, pierwszém żądaniem Jana było widzenie Kraśniaków; przyprowadzono

mu syna, niegdyś chłopca, a dziś ożenionego parobka.

— Znasz się na roli? spytał Jan. Kraśniak skłonił się, przytakując głową.

— Będziesz więc przy mnie, Jan kończył, będziesz zarządzał i ekonomował, nim sam rozeznam się w gospodarce. Zdam się na ciebie we wszystkiem, bo wiem, jak ród wasz poczciwy. Matuli powiedz, by przyszła przyjąć na własność kilka zagonów gruntu od wędrowca, którego niegdyś jadłem pożywiła. Kraśniak wyjść nie mógł z podziwu.

— Tak widzisz bracie, Jan rzecze, sumienną pracą i wiarą w miłosierdzie Boże dorobiłem się grosza, chcę, aby żaden poczciwy przy mnie nie doznał nędzy ni głodu.

Jakoż w folwarczku Janowym wszystko szło ładem i składem; sierota, kaleka i starzec zawsze tam znalazł schronienie. Bóg przeto nie uchylał łaski swej, i rola tak jak rzemiosło mnożyło Janowi fortunę.

W parę tygodni po zajęciu nowej siedziby, Jan wyszedł przede dwór, obok stanęła kochająca żona, dalej nieco dziatek gromada, a Kraśniak stojąc opodal, rozpowiadał bieg całodniowych czynności. Słońce świeciło, drzewa zieleniały, a w tejże chwili zabrzmiał głos dzwonu z kościołka, zwołujący na Anioł Pański. Przyklęknął Jan, za nim cała gromadka, dziękując za odebraną, a prosząc o Bożą łaskę w przyszłości.

Górnictwo.

IV.

Poszukiwanie i wydobywanie rud metalicznych.

—

Jak pod względem składu, budowy i postaci rudy kruszconośne są rozmaite, tak też i w łonie ziemi w różnych się położeniach znajdują. Skorupa ziemska jest bardzo grubą, pogarbioną i porozpadaną, a w ułożeniu swojem wewnętrznem wcale niejednostajną. Składa się z rozmaitych warstw, mniej lub więcej rozległych, zachodzących na siebie, albo się z sobą przecinających, poziomo lub też w innych ułożonych kierunkach, tak, że często przez ogień wewnętrzny wyparte, stają się nawet prostopadłemi.

W tych dopiero różnych pokładach i położeniach, a w głębokości bardzo zmiennej, czyto w żyłach czy w gniazdach, czy w górutworach warstwowych, czy też w rozrzuceniu, znajdują się rudy kruszconośne.

Niełatwą więc jest rzeczą w danej jakiejś okolicy wykazać, że są takie rudy i mniej więcej tak a tak bogate. Na to potrzeba głębokiej nauki i wielkiego doświadczenia. Nie łudząc się powierzchnią ziemi, należy zgadnąć, co się we wnętrznościach jej znajduje, a pozory często zwodnicze; samo zewnętrzne tylko oblicze ziemi w błąd wprowadzić może.

Wprawdzie są niektóre wskazówki, pozwalające z pierwszego rzutu oka domyślać się zasobów ziemi wewnętrznych, ale te wskazówki, dawane przez samę naturę, często bardzo są niszczone przez człowieka i w zamieszkałych przezeń okolicach prawie zupełnie giną.

Wiadomo np. że w tych miejscach, w których się sól niedaleko pod powierzchnią ziemi znajduje, rosną stale pewne rośliny, jak u nas koło Ciechocinka salsola i sodnik, lub gdzieindziej t. p. To samo dzieje się przy niektórych rudach metalicznych. Koło Olkusza i Sławkowa, gdzie się galman czyli ruda cynkowa dobywa, w całej prawie tamtejszej okolicy rośnie dzika rezeda, tak zwana *rezeda żółta*. Po takich roślinach można się domniemywać, że są takie a takie kopaliny. Lecz w okolicach uprawą gospodarską zajętych i zaludnionych, gdzie warstwa zewnętrzna ziemi pługiem i nawozem jest przerabianą, zupełnie inna puszcza się roślinność, która ani się domyślać daje bogactw wewnętrznych.

Jakiż tedy jest sposób pewniejszy, i jakie pomoce, aby trafić, gdzie się co znajduje?

Otóż naprzód w tym względzie długie doświadczenie wieków i tradycya czyli podania naszych dziadów, pradziadów są ważną bardzo pomocą. Powtóre z geologii czyli ziemioznawstwa, o której to nauce, we wstępie wam wspomniałem, wiemy, że pewnego gatunku górutwory, pewne skały i warstwy ziemi, leżą w takim a w takim stałym porządku, a doświadczenie dodaje, że w tych a w tych warstwach znajdują się tego lub owego gatunku kopaliny, czyto rudy metaliczne, czy inne jakie pożyteczne rzeczy.

Są ogromne dzieła, książki duże, rysunki i

opisy całych krajów, wysp, prowincyj albo powiatów, w których od najdawniejszych czasów zbierane postrzeżenia ludowe i badania ludzi uczonych są zamknięte. Do tych dzieł coraz nowe robią się dodatki, coraz nowe bowiem dzieją się odkrycia, mappy wyborne powstają i każde następne pokolenie ma już dużo w poznaniu ziemi swojej pomocy.

Przybywszy więc do jakiej okolicy z dobremi mappami, igiełką magnesową i z przewodnikiem, doświadczony a uczony górnik odrazu powiedzieć może, czego się w tej ziemi łonie spodziewać można.

Żeby się zaś bliżej przekonać, w rozmaitych miejscach, wierci się ziemia osobnym, do tego celu przeznaczonym górniczym świdrem; wyciąga się w zwojach jego cząstki ziemi z różnych głębokości i podług zasad mineralogii albo kopalnictwa oznacza się, jakieto są kopaliny, jakie mianowicie rudy, jak bogate i czego się można po nich spodziewać.

Często także sama natura przychodzi nam w pomoc w czasie poszukiwania, bo w tych lub owych miejscach wysunęła z głębi ziemi na powierzchnią szukane kopaliny, i są takie położenia, że więcej wypchnięte na wierzch, tu się obficiej znajdują, niżeli głęboko w łonie ziemi. Mianowicie to się trafia w okolich gór wielkich ogniowych, w całych pasmach wyniesionych przed wiekami do znacznej wysokości. Te góry wyłażąc na powierzchnię ziemi, zabrały w siebie i wyniosły na oblicze naszej żywicielki wszystkie pożyteczne minerały. W postępie wieków deszcze, słoty, mrozy i wichry kruszyły te skały (jakeśmy już we wstępie powiedzieli) i rozsypywały się po dolinach w rumowiskach. W tych właśnie rumowiskach, w owych okruchach i piaskach obfita ilość rud przeróżnych się znajduje.

Złoto, srebro, platyna i t. p. najpospoliciej tu się spotykają, zwłaszcza, że rzeki i strumienie płynące nieraz z ogromnych wysokości, biegiem swej wody wypłukują ze skał metale i sprowadzają na niziny.

Inne znów rudy stanowią żyły w rozpadlinach skał, promienisto albo równolegle się rozchodzące. Inne w gniazdach czyli kępkach, w tak nazwanych *kłębach* tu i owdzie wepchnięte i upakowane, a niektóre wreszcie w tak zwanych *geodach* czyli próżnych jamach skał, niby w bąblach, jako kryształki na ścianach tych próżni poprzyczepiane i w różne ułożone postacie.

Nieraz też stanowią pokłady bardzo rozległe, w których raz koło razu kopiąc rydlem lub rwąc kilofem, kawałami się rudę dobywa. W tym przypadku jest wiele rud żelaznych, miedzianych i cynkowych.

Nakoniec całe stérczące skały i nawet wielkie góry są rudą metaliczną (np. żelazo, miedź) co w Szwecyi, Syberyi i na wyspach niektórych Śródziemnego morza, na Elbie, Malcie, oraz w innych częściach świata się zdarza.

Wydobywanie.

Stosownie do takowego znajdowania się rud metalicznych dobywanie ich uskutecznia się w ten sposób: iż albo się zbierają po powierzchni ziemi, albo tylko rydlem i motyką się wygrzebują, np. złoto w Kalifornii w Ameryce i w Uralu, tudzież w rzekach niektórych, jak Tagus w Hiszpanii, Portugalii i t. p.; albo przez łatwą tak nazwaną *odkrywkę* t. j. gdy ruda jaka niebardzo głęboko się znajduje i dosyć jest pewną warstwę odrzucić, aby się dobrać do jej gniazd i pokładów. Po większej wszakże części trzeba się zapuszczać bardzo nieraz głęboko w ziemię i tam szperać, kopać i wyciągać.

O tym przypadku muszę wam szerzej opowiedzieć, bo u nas najczęściej tak się dobywają wszystkie niemal rudy.

Studnie głębokie, węższe lub szersze, które się kopią pionowo w ziemi aż do warstwy kruszconośnej, nazywają się po górniczemu *szybami*. Każdy taki *szyb* ocembrowany zostaje kręglakowem drzewem i opatrzony drabiną, a na wierzchu ma kołowrót czyli windę z korbami i linę albo łańcuch do wyciągania w kubełkach rudy.

Na spodzie szybu kopią się kanały poziome w różnych kierunkach, które służą za kommunikacyą podziemną; dostarczają rudy a przytem służą do odprowadzania wody, jeżeli się ta znajduje, aby nie zalewała kopalni. Kanały te zowią się *sztolniami*; w większych kopalniach *gankami* nazywają pewne części sztolni.

Te podziemne kanały w miarę kopania obudowywują się drzewem, t. j. robi się w nich sklepienie i ściany, a te podpierają się i

umacniają przez tak zwane *stemplowanie*. Często gęsto w dużych kopalniach, jak np. węgla kamiennego i soli, w podziemiach są pobudowane koleje żelazne lub drewniane, po których wagony poruszane końmi, osłami lub machinami, a nieraz ciągnione przez ludzi, doprowadzają do szybów i na wierzch wydobywają kopaliny.

Narzędziami do kopania rud są kilofy, oskardy, siekiery, motyki, grace, rydle, łopaty, taczki, nosze i t. p. Miarami rud są *skrzynki, kible* i *badyje*. Kibel wynosi 35 garncy, a badyja znaczy tyle co kibel. Skrzynka ma 6 pudów czyli 240 funtów, a na objętość 45 garncy. W wielu razach niektóre rudy wyłącznie mierzą się na wagę, t. j. na centnary i pudy, ale to tylko rudy metali szlachetnych.

Do oświetlania podziemnych lochów, używają się olejne *kaganki* albo latarnie. Z pomiędzy tych ostatnich słynną jest latarnia, wynaleziona przez uczonego Anglika nazwiskiem *Davy*, zwana od wynalazcy lampką *Dewiego* lub też *lampką bezpieczeństwa*, dlatego, że broni od wybuchów w kopalniach, ktore często zdarzać się były zwykły przez zapalenie wydobywających się w podziemiach gazów zapalnych. Na zasadach nauki głębszej jest ona tak urządzoną, że chociaż się płomień w niej pali i kopalnią oświeca, to przecież zapalić gazu nie potrafi, bo jest otoczony siatką drucianą mosiężną, przerywającą kommunikacyą gazu kopalnianego z ogniem i płomieniem wewnętrznym.

Świątobliwe niewiasty.

VIII.

KATARZYNA BIAŁUSZ.

—

Urodzona z wielkiego domu hrabiów na Melsztynie, w młodości swej zaślubioną została zacnemu mężowi, nazwiskiem Białusz; wielkiej pobożności niewiasta, ustawiczna w postach, wylana na miłosierne uczynki, trwała nieprzerwanie w głębokiej pokorze. Zostawszy wdową, nie wchodziła więcej w związki małżeńskie. Znakomitych dóbr dziedziczka dochody swoje całe obracała na ratowanie ubogich, żywiąc ich i okrywając, sama zaś odrobinami schodzącemi ze stołu OO. Dominikanów Krakowskich żywiła się, mając je za najwyborniejszy pokarm.

Pobożna ta matrona ze szczególnem nabożeństwem modliła się do Najświętszej Panny. W kościele Krakowskim Przenajświętszej Trójcy chór mały swym kosztem zakupiła i wiele aparatów kosztownych do tegoż kościoła sprawiła.

Zmarła w Krakowie r. 1408, pochowana w kościele Stej Trójcy przy zakrystyi nieopodal wielkiego ołtarza. Gdy w lat dwieście trzydzieści i siedm, tojest r. 1645 grób jej znaleziono, ciało jej zupełnie nienaruszonem widziano.

IX.

MARYANNA-TERESA DZIAŁYŃSKA.

—

Urodzona ze Stefana Grudzińskiego, starosty Ujskiego, Pileckiego i Bolemowskiego nietylko świecką sławą, ale i chrześciańskiemi cnotami męża wielce zaleconego w narodzie, i z Konstancyi Kułaczkowskiej, strzeżona przez bogobojnych rodziców, wzrosła w cnotach. W młodych latach wydaną została za Jana Dominika Działyńskiego kasztelana Chełmińskiego, z którym wiodła żywot przykładnie.

Po śmierci męża swego w krótkim nastąpionej czasie, więcej nie wchodziła w związki małżeńskie, a pogardziwszy wymyślnemi strojami i wygodami życia, cała wylała się na dobroczynne uczynki. Codziennie odprawiała medytacye.

W mowie pomiarkowana, o nikim nigdy źle nie mówiła, w czem i drugich przestrzegała, by lekkomyślnie sławy cudzej nie szarpali.

Co tydzień do stołu pańskiego przystępowała; do Matki Najświętszej szczególne miała nabożeństwo.

Kościoły kosztownemi kielichami i bogatemi apparatami zdobiła.

Nareszcie zmarła śmiercią sprawiedliwych; rok jej zgonu niewiadomy, zdaje się, że żyła w pierwszej połowie siedmnastego wieku.

W druk. J. Ungra.— Wolno drukować.— Warszawa d. 15 (27) czerwca 1859 r. Starszy cenzor *F. Sobieszczański.*